Nr. 11. Kraków, w październiku 1900 r. Rok I.

PRZODOWNICA

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 20 ct. | zagranicą . . . 40 fen.
półrocznie . . . 10 „ | pojedynczy numer 2 ct.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.



Fundatorzy gruntu pod szkołę ludową w Zwardoniu
imienia królowej Jadwigi.

Szanowne Czytelniczki!

W przeszłym numerze *Przodownicy* podałyśmy Wam opis uroczystości poświęcenia budowy szkoły w Zwardoniu — imienia królowej Jadwigi, — zarazem powiadomiłyśmy Was, że na przedstawienie naczelnika **dwunastu wieśniaków** złożyło się na zakupno gruntu pod tę szkółkę. W tym Nrze podajemy Wam fotografię tych fundatorów gruntu, oraz zacnego pana Janesa, który tak umiał wpłynąć, że złożyli się nie tylko na zakupno gruntu pod tę szkółkę, ale także na wybudowanie kapliczki, którą również widzicie na tym tu obrazeczku.

Oznaczony numerem pierwszym włościanin nazywa się Tomasz Zwardoń, drugim Wacław Pydych, trzecim Jan Fułat, czwartym Franciszek Pytel, piątym Józef Bury, szóstym Michał Żabnicki, siódmym Tomasz Zeman, ósmym Józef Pydych, dziewiątym Szymon Pydych, dziesiątym Józef Żabnicki, jedenastym Michał Jachowicz, dwunastym Jakób Zwardoń. Pośrodku w czapce urzędowej to naczelnik stacyi pan Janes, pod którego to wpływem ludzie ci takie położyli zasługi dla mieszkańców swojej wioski. Najwięcej z tych dwunastu zasłużyli się nietylko darem pieniężnym, ale pracą i staraniem gorliwem, ci, którzy najbliżej stoją naczelnika — to są: Michał Jachowicz, Franciszek Pytel, Józef Bury, Tomasz Zeman i Józef Pydych. Pamięć i wdzięczność w sercach ludu miejscowego nigdy nie wygaśnie dla tych dwunastu dzielnych obywateli kraju i ich przewodnika.

Z wędrówek po świecie.

Częstochowa.

Przez długie wieki jasnogórski klasztór i kościół z cudownym obrazem Najśw. Panny, cicho i bez rozgłosu spełniał wielkie, bo błogosławione zadanie kojenia cierpiących, pocieszania smutnych i otuchą napełniania serc wątpiących. Mnogie dobrodziejstwa i cuda, jakich u stóp cudownego ołtarza doznawali wierni, zwabiały ich tam coraz to liczniejsze zastępy. Królowie polscy rycerze, można szlachta i mieszczaństwo, a przedewszystkiem ubodzy wieśniacy ciągnęli do obrazu Pocieszycielki strapionych, aby przed Jej śniadem i szramami przeciętem obliczem, dolegliwości swoje wypłakać, a natomiast łaski wymodlić. I nieśli oni na ofiarę, t. zw. wota, czyli dary; nieśli co mieli najlepszego i najcenniejszego i składali: szczerozłote i srebrne naczynia, bogate ornaty i inne szaty kościelne, ozdobne i wysoką wartość mające sprzęty, wreszcie kruszce i drogie kamienie, a nawet i pieniądze w gotówce. Więc rósł i potężniał z roku na rok, z wieku na wiek jasnogórski skarbiec i coraz to wspanialszymi i piękniejszymi okazami zadziwiać mógł zwiedzających go pielgrzymów.

Aż przyszedł czas, kiedy nie sama modlitwa gorąca, nie same łzy dziękczynne lub westchnienia ulgi pragnące, rozbrzmiewały wśród murów częstochowskich zabudowań.

Przyszła chwila ciężka, pogromu i zwątpienia; w której na Jasnogórze tylko tlał i gorzał ogień miłości, odwagi i poświęcenia — ogień wiary, który wkrótce ogarnął całą Polskę i podniósłszy w niej ducha, ocalił walące się w gruzy królestwo. Mowię tu o pamiętnym roku 1655 — o roku klęski i potopu dla naszej Ojczyzny — gdy za panowania Jana Kazimierza zwaliły się na kraj trzy wojny równocześnie, a szwedzka najcięższa. Potężne wojska nieprzyjacielskie przez zdrajców-Polaków sprowadzone i do kraju wpuszczone, zalały już Litwę i koronę całą. Król odstąpiony przez wojsko, które pobite, poddało się Szwedom, opuścił swój tron i swoją stolicę (Warszawę) i schronił się po za granicami kraju, na Szląsk. Szlachta zastraszona pogromem powszechnym i powodzeniem najezdzców, tulić się zaczynała pod skrzydła obcego monarchy, swojemu wymawiając posłuch i opiekę. Lud rolny bezbronny i na najstraszniejszy rozbój szwedzkich żołdaków wydany, ginął tysiącami z nędzy, głodu i chorób. Cóż więc wtedy Polskę zbawić mogło? Nie oręż, bo go jej wytrącono z ręki, — nie król, bo go nie było wśród swoich, — nie mężni rycerze i szlachta, bo ci zdradzili Ojczyznę, lub zwątpili w nią, — nie mieszczaństwo, ani wieśniacy, bo tych powszechny potop niedoli narodowej zalał. Polskę ocaliła i zbawiła wtedy iskra Boża — wiara i wytrwałość drobnej garsteczki sług Przenajświętszej Panny, kilkuset szlachty i kilkudziesięciu mni-

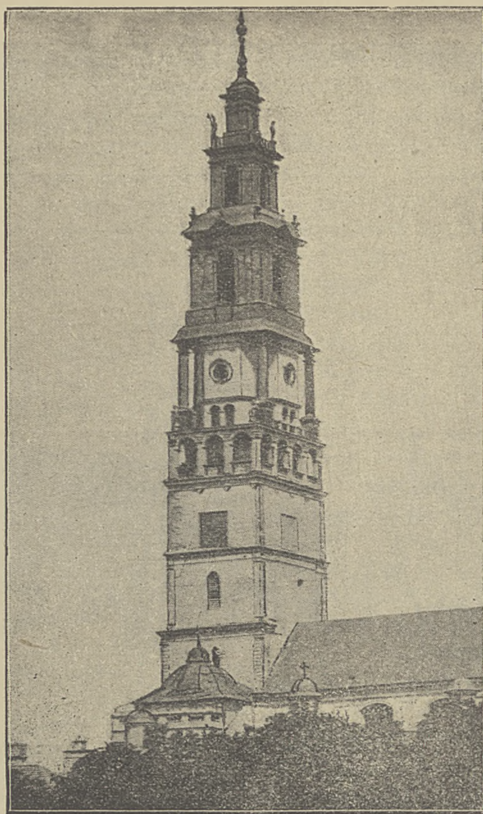
chów, którzy nie żałowali trudów, zdrowia i życia, aby przybytek cudami słynącego obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej w ręce wrogów wszystko niszczących nie oddać.

I rozpoczęła się walka, jakiej dzieje nie pamiętają. Kilkudziesięciu ludzi, do broni wcale nie przywykłych, księży i braciszków zakonnych pod wodzą przeora swego ks. Augustyna Kordeckiego i trochę żołnierzy z Piotrem Czarnieckim na czele, odpierali przez parę tygodni szturmy wdzierającego się na mury twierdzy Częstochowskiej parutysięcznego wojska szwedzkiego, doskonale uzbrojonego i w boju wyćwiczonego, które w oblężeniu tem poniosło tak dotkliwe straty, iż ze sromem pobite i wyniszczone, odstąpiło wreszcie z pod Częstochowy.

Wieść o tej tak cudownej obronie miejsca świętego przeleciała lotem błyskawicy Polskę całą i wszędzie narodowi, szwedzkim uciskiem znękanemu, dodawała ducha i męstwa.

Jeżeli bowiem za łaską i przyczyną Boga-Rodzicy oprzeć się wrogowi mogła Częstochowa, garstkę tylko mając walczących, czemużby tak rozległa i ludna Rzeczpospolita, nie miała odepchnąć najazdu szwedzkiego i wolności o niepodległość odzyskać? Zatem co żyło, chcąc iść w ślad dzielnych obrońców Częstochowy, chwytało za oręż i uderzało na wroga. Nieprzygotowany na niespodziewany opór Szwed, wkrótce stracił wiarę w swe powodzenie i zaczął się cofać przed powstającym polskim narodem. Piędź po piędzi ziemi ustępować nam musiał, aż i Polskę całkiem opuścił. I zaświtała znów zorza swobody nad Ojczyzną naszą — zorza wolności. A że pierwsze jej promienie wyszły z jasnogórskiego klasztoru, — więc też ten klasztor i ten kościół tak bardzo drogim jest odtąd Polakom I kilkakrotnie jeszcze potem ta częstochowska forteczka stawiała opór nieprzyjaciołom, kraj nasz nachodzącym — zawsze szczęśliwie opierała się i zawsze nietknięta z walk tych wychodziła. A kościół i cudowny obraz coraz też więcej zyskiwał zaufania i miłości w narodzie i coraz liczniejsze rzesze pątników ściągały do niego. I niema dziś może jednego Polaka katolika, któryby bodaj raz w życiu nie był w tem cudownem miejscu świętem. Więc nic dziwnego, że gdy w sierpniu b. roku rozeszła się wieść o spaleniu wieży kościelnej w Częstochowie — cały naród polski zatroszczył się o całość tej swojej ukochanej świątyni i począł sypać grosz wdowi, grosz ciężko zapracowany, grosz na najpierwsze życiowe potrzeby niezbędny, aby ze składek odbudować, co pożar zniszczył. Dziś uspokojono się już. Dziś wiemy, że się to, co runęło, wzniesie, że wkrótce stanie na miejscu spalonej, nowa okazała wieża, której odnowienie prowadzić będą najznakomitsi nasi budowniczowie, że święte miejsce i tak drogie sercu Polaków, nic na swej wspaniałości nie straci, a chwałę Królowej Polski — Najświętszej Bogarodzicy — roznosić będzie wkrótce znów dzwon z jasnogórskiej wieży i do Jej ołtarza przywoływać tłumy pobożne.

M. T. Bł.



Wieża Jasnogórska przed spaleniem.

Ofiara zabobonu.

Obrazek wiejski, przez Jotę.

(Ciąg dalszy).

III.

Nad wioską zajaśniała łuna, coraz szerzej rozpinając na niebie swój płaszcz purpurowy. Ptaki

tylko, uśpione, pozrywały się z gałęzi i fruwały to tu, to tam bez celu — jak błędne. Po chatach i chlewach gęsi, kaczki i kury, złudzone blaskiem, zakradającym się do ich sypialni, poczęły gęgać, gdakać, kwokać, wrzaskliwie witając dzień, jakoby wschodzący. Ale były to jedyne głosy radosnej głupoty; bo ludzie rozumiejąc ogrom niebezpieczeństwa, wybiegali z chat przerażeni. Z ich gardzieli pokurczonych strachem wychodziły co moment, to lękliwe biadanie, to

derkami i bosakami w stronę stodoły płonącej. Jedne tylko baby i dzieciaki pozostały na straży swych ognisk domowych, stojąc gromadkami na ulicy, a ciekawsze wieszając się po płotach.

Tymczasem stodoła cała już stała w płomieniach, wyrzucając raz poraz wysoko snopy iskier od palącego się zboża. Trzymały się jeszcze ściany i krokwie dachu, sycząc przy każdem zetknięciu się z wodą, dostarczaną tu z rzadka, jak gdyby dla większego tylko jeszcze podsycenia płomie-



Wieża Jasnogórska po spaleniu.

głośne krzyki: „gore!“ — aż nad tymi wszystkimi wrzaskami, jękami, krzykami, rozbrzmiał i zapanował jeden jeszcze głos potężny — głos dzwonu kościelnego, bijącego miarowo na trwogę.

Dzwon kościelny dla kmiotka jest zawsze głosem nawołującym do spełnienia obowiązku; on to woła go na trudy całodzienne, on przerywa jego prace, wzywa do stóp ołtarza, lub zgina kolana i głowy w modlitwie za umarłych. Teraz więc na wezwanie tego spiżowego głosu sumienia ruszyła się raptem wiara, biegnąc z wia-

nia. Ratunek szedł bezładnie, bez żadnej organizacyi i bez komendy. Jedni, wylawszy wodę w płomień ze swego wiaderka, biegli po nowy zapas wody do odległego strumyka, lub studni, powracając z wodą do pożaru dopiero po upływie pięciu lub sześciu minut — inni też samą drogę odbywali z sikawką ręczną, co już wyglądało na drwiny z ognia, szalejącego coraz bardziej.

To też podobno najrozsądniej postąpili sobie ci, którzy nie kusząc się o ugaszenie stodoły,

starali się jedynie o to, aby ogień nie przerzucił się na inne budynki sąsiednie. Ci, poumieszczawszy się na dachach, zlewali je obficie wodą, okrywali mokremi płachtami i gasili iskry, na szczęście z rzadka tu padające, gdyż wiatr niósł iskry w stronę pola.

Stanisław, jako najbliższy sąsiad Walczaka, a więc osobiście najbardziej pożarem zagrożony, należał naturalnie do tej ostatniej kategoryi obrońców. Umieściwszy się ze swym parobkiem na dachu swojej stodoły, zajęty był głównie jej bezpieczeństwem i obroną. Ale gdy wnętrze stodoły płonącej, strawiwszy wszystko zboże, przestało sypać iskry, gdy sama stodoła ze ścianami, po których przebiegały ogniki i z nagiemi krokwiami dachu, przedstawiała już tylko jakby szkielet zwierzęcia, zanurzony w morzu ognia, wtedy i Stanisław zesunąwszy się ze swego dachu, pobiegł z bosakiem do stodoły dogorywającej. — Przyskoczyli i inni, i zaczęli bosakami szarpać i rozrywać ściany ogniem gorejące.

Ogień przygasał powoli; łuna na niebie bladła i malała. Krokwie dachu runąwszy z trzaskiem na ziemię, rozniecily jeszcze na chwilę i siłę płomienia i łunę na niebie, i raz jeszcze sypnęły w górę snopem iskier; ale był to już ostatni odblask konania. Za chwilę cała stodoła zamieniła się w jeden stos belek płonących zruconych na gromadę, które teraz poczęto zalewać skwapliwie.

Ratunek został ukończony. Wszyscy wracali od ognia z uczuciem ulgi w sercach, że skończyło się tylko na jednej stodole, i że bądź co bądź spełnili swój obowiązek. Było jeszcze dość wcześnie; na strawienie ogniem stodoły drewnianej nie trzeba było i godziny — ten więc i ów pociągnął jeszcze do Walentowej na wieczornicę. Dziś nawet zgromadziło się tutaj więcej narodu niż zwykle; gdyż pożar dostarczał każdemu obfitego materyału do pogawędki. Potrzebowano się przecież wygadać, podzielić ze swemi wrażeniami, wyrazić wreszcie swe żale względem pogorzelca.

Grzegorz przyłączył się do Stanisława, który skierował się jeszcze na pastwisko dopatrzeć koni tam się pasących.

— A cóż, Stanisław? ty widzę dziś na paszni nie na wieczornicę.

— Wiem ci ja, wiem, że ty chciałbyś tego; ino że daremna twa uciecha. Niech ino huknę na pastwiska, ażeby mi nie puścił szkap w szkodę, to znajdę się i ja tam na wieczornicy. Nie dla psa kiełbasa.

— Niby Marysia. Ha! ha! ha! No! próżno się nie strachaj, ja ci jej nie odbiorę. Dziewucha, prawda, podobała mi się ogniście....

— I jej łan graniczny.

— Przecież wiem, że serca dziewczyny nie przyniewolisz niczem, jeżeli już rwie się do innego. A Marysia już cała przylgnęła do ciebie.... już dla niej ty, abo żaden.

— Może wynurzyła się z tem przed tobą — rzekł Stanisław z przekąsem.

— Ji! tego mi nie było trzeba. Mam oczy dobre. A i teraz w czasie ognia widziałem ci ją jak od swego płota patrzyła w ciebie, jak w tęczę. Więcej ją strachał dach tej stodoły, na którem ty siedziałeś, niźli jej własna zagroda.

— Bogać nie. Wszak ci wiedziała, że broniąc swojej stodoły, bronię i jej zagrody od ognia, coby się i tam przedostał.

Powiedział to niby niedbale, ale twarz rozpromieniała mu radością wewnętrzną.

— Więc dobijaj targu, a ja ci pewnie nie przeszkodzę; ot! i teraz miasto smalić do dziewki koperczaki, ja idę z tobą na pasznię i razem na wieczornicę.

Z paszni wracali też oba w przykładnej jedności i zgodzie. Grzegorz, gdy mijali jego chatę, zawołał:

— Ależ nasze łapy uwalane pożarem, kiejby piekielników. Trza nam się umyć i ogarnąć, a więcej jeszcze tobie do dziewuchy. Do mojej zajdziemy izby na ogarnięcie się i fajeczkę.

— Bóg zapłać za fajeczkę; ale obmyć nam się prawdziwie potrzeba.

Nie długo trwało to ogarnięcie. Grzegorz zdjął z nad szafy dzbanek z wodą i nalał z niego gościowi w miskę, w drugą miskę dla siebie nalał wody z wiaderka. Obmywszy więc ręce, przygładzili jeszcze trochę swych czupryn, poprawili tu i owdzie odzienie, i tak wyświeżeni udali się oba do chaty Walczakowej na wieczornicę.

IV.

Obszerna izba w chacie Walczakowej była dziś jak nabita. Wesoły ogień z komina, stanowiący jedyne oświetlenie tej izby, oblewał krwawem światłem tych tylko, którzy stali bliżej komina, — reszta zgromadzonych tonęła w pełnym zmroku. Wszyscy coś mówili silnie gestykulując; rojno więc tu było i gwarno jak w ulu. Wszyscy naturalnie mówili tylko o dopiero co ugaszonym pożarze.

(C. d. n.)

Wspólna gospodarka całej wsi.

Włościanie wsi Małe-Śwityce, w gubernii nowogrodzkiej, na Litwie, postanowili założyć sobie wspólne gospodarstwo, i w tym celu utworzyli Związek inaczej zwany „artiel“. Do tego Związku należy „cała wieś bez żadnego wyjątku“, to jest dwory i 50-ciu gospodarzy z 308 ludźmi obojga płci. „Związek“ ten założono za radą włościanina tej wsi I. Michajłowa. Celem tego „Związku“ jest wspólna praca nad wychowaniem dzieci na dobrych obywateli i nad podniesieniem dobrobytu w wiosce. Wszyscy pracują we wsi przez rok cały, a potem dzielą się czystym zyskiem, który rozdziela się stosownie do tego, ile kto odrobił godzin i dni w ciągu roku. Dzieci i wyrostków do lat 17 używają do pracy w polach, sadach i t. d., i to tylko wtedy, gdy są najpilniejsze roboty, ale za robotę im nie płacą nic, a nie płacą dlatego, bo tą pracą wynagradzają dzieci koszta swojego wychowania i nauki. Wszystkie dzieci z całej wioski uczą się gospodarstwa wiejskiego i niektórych rzemiosł w szkółce zawodowej.

Ponieważ postanowiono, żeby wszystkie budynki wioski były murowane, więc „Związek“ postawił dużą cegielnię. Również mają wspólną jedną wielką oborę, stodoły, stajnie, łaźnię, piekarnię, jadalnie z kuchnią, sklep z towarami przeważnie miejscowymi, a więc własnych wyrobów. Zaprowadzają płodozmian ośmiopolowy, sochy zamieniają na pługi.

Wspólna młocarnia i cegielnia będą poruszane wodą, sprowadzoną kanałem z rzeki Msty, aby oszczędzić siły ludzkiej i czasu. Szkoła będzie wspólna dla dzieci tej wioski. Przy szkole będzie kościółek i pole tak zwane doświadczalne, na którem zakładają sad owocowy, ogród warzywny, pasiekę, aby dzieci na tem polu uczyły się, jak sadzić, szczepić i t. d. Całe gospodarstwo oprócz zwykłych płodów ziemnych, głównie produkować będzie masło i len, który na miejscu będą przerabiali na przędzę i tkaniny. Dlatego urządzają sobie warsztaty: przędzalniczy, tkacki, ślusarski, stolarski, rymarski, krawiecki i szewski, kuźnię i szwalnię. Każdym rodzajem roboty będzie zawiadywać osobny dziesiętnik, który codzień musi donosić zarządowi „Związku“ o pilności pracujących, o ilości dni i godzin pracy.

A największem staraniem „Związku“ to nauczanie, kształcenie i wychowanie dzieci. Wszystko to potrzebuje wielkiego kapitału, na który złożyli się wszyscy członkowie „Związku“, a więc wszyscy dorośli zamieszkujący tę wioskę, a prócz tego uzyskali u wyższych władz pożyczkę na bardzo dogodnych warunkach.

Donosimy Wam, Szanowne i Drogie Czytelniczki o tym „Związku“, bo zasługuje ze wszech miar na pochwałę i naśladowanie. Myśl utworzenia takiego „Związku“ wspólnej pracy, wspólnej nauki, wspólnego i sprawiedliwego podziału, poradził wieśniak, wieśniak bardzo mądry, zacny i szlachetny, bo miał na celu polepszenie bytu swej wioski.

Prawda, że to myśl piękna i szlachetna?

A wiecie drodzy Czytelnicy, czemu? Bo taki „Związek“ polepszy dolę wieśniaka i zatrzyma go na ojcowiznie — bo cała wioska sama musi dostarczyć sobie produktów na wyżywienie, odzienie; przez zakładanie szkółek zawodowo-gospodarczych kształci dzieci na dobrych, zdolnych i pracowitych robotników, a ten pieniądz, jakiby wydawała za granicę na obce wyroby, pozostaje w wiosce na szkółki, na czytanie. I jeszcze jeden wielki zysk, że lud nie pozbywa się swojego prześlicznego ubioru, nie przywdziewa szmatek fabrycznych na siebie, ale wyrabia sobie mocne płótnianki, piękne kilimy, słowem wszystko, czego mu potrzeba do gospodarstwa domowego i przyodziewku.

Czytajcie tę wiadomość Drogie Czytelniczki, swoim ojcom, mężom, synom, a może znajdzie się i u nas taki światły gospodarz, który zechce coś podobnego zaprowadzić w wiosce przez siebie zamieszkałej, a z pewnością znajdą się i ludzie dobrej woli, którzy mu doradzą i w tem pomogą. Pomyślcie Drogie Czytelniczki, ile to grosza wydanego w miastach, zostać może w kraju, ile to czasu każda gosposia i każdy gospodarz zaoszczędzi, jeśli nie będą potrzebowali chodzić do miasta po zakupy. A czy to nie miło, że dzieciaki uczą się na rzemieślników, uczą się gospodarstwa i wszystkiego pod okiem swych rodziców? Aby jednak można było coś podobnego zaprowadzić, to przedewszystkiem potrzeba, aby wszyscy byli uczciwi, sumienni i prawi ludzie. Aby między nimi nie było zawiści, podejrzenia, złej woli i zazdrości, ale żeby wszyscy łącząc się w tej wspólnej pracy, pamiętali, że pracować mają dla siebie i dla współbraci.

ROZMAITOŚCI.

Dnia 30-go września b. r. przypada dwóchsetna rocznica urodzin Stanisława Konarskiego, męża bardzo zasłużonego dla szkolnictwa i oświaty w Polsce. Stanisław Konarski, człowiek światły i pełen najgłębszej miłości Ojczyzny, żył w czasach, gdy Polska chyliła się ku upadkowi. Poznał on rychło, że przyczyną najgłówniejszą tego jest brak oświaty prawdziwej i zły sposób uczenia młodzieży. Chcąc złemu zaradzić, został księdzem i wstąpił do zakonu OO. Pijarów, którzy wówczas wraz z Jezuitami wszystkie niemal szkoły polskie mieli pod swym zarządem. Konarski nie zadowolnił się jednak tem, że w konwikcie czyli szkole Pijarów mógł młodzież szlachecką nauczać. On pragnął aby ta nauka była rzetelna, rozumna i dla Ojczyzny korzystna. Więc zabrał się do zmiany i poprawy sposobu wychowywania i nauczania, a zrobił to tak doskonale, że wkrótce przyjęli jego reformę (zmianę w nauczaniu) Pijarzy i we wszystkich ją swych szkołach, których było w Polsce wtedy bardzo wiele zaprowadzili. A skutki tak zmienionego wychowania młodzieży okazały się bardzo dobre, gdyż ze szkół pijarskich wychodzili w drugiej połowie 18 wieku — w czasach najsmutniejszych dla Polski, mężowie miłujący kraj i broniący go z wszystkich sił od zagłady. I jeżeli nie zdołali ci wychowańcy szkół pijarskich uratować Polski od rozbiorów i klęsk politycznych, pozostawili po sobie pamięć najlepszych obywateli, którzy w konstytucyi 3 maja o zrównaniu mieszczan i uwłaszczaniu włościan myśleli. Zasługa to Stanisława Konarskiego, którego też teraz uroczystym jubileuszem cała Polska uczciła.

Z Poznania. Piszą do Was drogie Czytelniczki: W dzień Narodzenia Matki Boskiej, tj. 8 września urządzono u nas wielki Wiec ludowy z powodu zniesienia przez rząd pruski nauki języka polskiego w szkołach poznańskich i zaprowadzenia w nich uauki religii św. w języku niemieckim. (O nowym tym krzyżackim zamachu pisała *Przodownica* w zeszłym numerze). Z górą 2 tysiące ojców i matek zebrało się na sali, a może drugie tyle musiało odejść dla braku miejsca. Przemawiało na Wiecu kilku mężczyzn i jedna kobieta, panna Janina Omańkowska.

Celem Wiecu było głównie uchwalenie protestu czyli wyrazu oburzenia przeciwko rozporządzeniu ministra oświaty Studta i wysłanie prośby do najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa gnieźnieńskiego Dra Stablewskiego, aby mocą swego urzędu bronił dzieci polskie przed niewiarą, zdziczeniem i niemczeniem. Nastrój uczestników Wiecu był poważny, lecz nie widać było przygnębienia, jakiego słusznie obawiać się było można wobec takiego ciosu. Usposobienie ludności najoczywiściej objawiło się w gorących okrzykach zadowolenia, jakiemi przyjęto końcowe przemówienie p. Omańkowskiej, że nie należy nam płakać i żebrać łaski, choćby u stóp tronu, albowiem sami jesteśmy dość silni, aby obronić się przed nawałem germanizacyi; że nie jesteśmy niewolnikami, całującymi rękę, która ich chłoszcze, ale że byliśmy, jesteśmy i zawsze będziemy, jako ów młodzieniec w „Dziadach“ Mickiewicza, który:

„Widząc, że lud płacze, patrząc na łańcuchy wstrząsnął nogą na znak, że mu niezbyt ciążyły, a gdy zacięto konia, kibitka runęła, on zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył i trzykroć krzyknął: Jeszcze nie zginęła“!

Otwarcie „Domu polskiego“ w Morawskiej Ostrawie odbyło się 8 września 1900 r. przy bardzo licznym udziale ludności miejscowej i przybyłych gości z okolicy, z Cieszyna, z Białej, z Karwiny, z Krakowa itd.

Ostrawa Morawska leży na Morawie, na granicy Śląska austryackiego. Tak w mieście tem, jak w sąsiednich gminach żyje z ciężkiej pracy rąk obok zamożniejszych Czechów i Niemców, 30 tysięcy Polaków, przeważnie górników i robotników pracujących w kopalniach węgla.

Polacy, jako ubożsi, nie mieli dotąd ani szkoły polskiej, gdzieby dzieci uczyć się mogły w ojczystym języku, ani czytelń polskich, ani domu takiego, gdzieby zgromadzać się mogli. Niemcy zaś i Czesi posiadają wspaniałe „domy“, szkoły, czytelnie, teatra, restauracye. Z tego wynikało, że dzieci ucząc się w obcym języku zapominały swej mowy ojczystej. Robotnik zaś polski jeżeli zaszedł do domu niemieckiego, nieśmiał się zdradzić swą mową, boby go Niemcy wyśmiali.

To smutne położenie robotnika polskiego w Ostrawie Morawskiej, trwało przez długie lata. I może nie prędkoby się zmieniło na lepsze, gdyby nie zacni ludzie, którzy przyszli im z pomocą. Ci ludzie postanowili w roku zeszłym postarać się o grunt i pieniądze, by wybudować „Dom polski“.

Dom ten jest wspaniały, najpiękniejszy w Ostrawie, a bodaj czy Kraków taki posiada! Dom ten mieści w sobie szkołę dla ludzi dorosłych nieumiejących czytać i pisać, czytelnię, salę teatralną i restauracyę.

Dzięki więc silnej woli szlachetnych ludzi i Polacy w Ostrawie Morawskiej obecnie mają swój „Dom polski“, gdzie będą mogli śmiało mówić swą piękną mową, i pielęgnować ducha narodowego.

Cześć i uznanie należy się tym gorliwym obrońcom polskim na kresach.

I znowu mamy do zanotowania jubileusz 40-letniej pracy obywatelskiej Bolesława Limanowskiego, człowieka uczonego, doskonałego znawcy stosunków wieśniaczych i gorącego w swych pismach obrońcy praw ludu i jego smutnej doli. Zasłużony ten mąż żyje od wielu lat za granicą, w wolnej ziemi Szwajcarów, lecz

chociaż z daleka od ojczystej ziemi, kocha swój naród i piórem mu, jak może, dopomaga.

Składki na szkołę w Zwardoniu imienia królowej Jadwigi przesłali: Franciszka Wójcikowa 50 ct.

Urzędnicy kolejowi w Żywcu za pośrednictwem p. Jana Barańskiego nadinżyniera, służba kolejowa żywiecka i robotnicy kolejowi w Żywcu na linii Zwardoń-Hucisko złożyli wszyscy razem złr 30 i 6 centów.

Pani Aniela Korzeniowska zebrała w Skawinie od krewnych, sąsiadek, znajomych i nieznajomych osób złr. 4 i 60 ct.

ODEZWA.

Kochane Siotry Polki! Na kresach w Zwardoniu ma powstać w tym roku szkoła polska imienia królowej Jadwigi. Chodzi o to, aby polskie dzieci miały możność uczenia się w polskim ojczystym języku.

Dlatego, która z Was jakąkolwiek kwotę może, niechaj złoży na ten cel tak szlachetny.

Datki należy przesyłać przekazem pocztowym do redakcyi *Przodownicy* ul. Szpitalna l. 7 w Krakowie.

Franciszkowa Wójcikowa
z Wyciąż.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szan. Jakóbowi Hessowi donosimy, że przedewszystkiem należy zbadać czy krowa ta nie ma zapalenia wymienią, lub czy też nie utworzył się wewnątrz wymienia wrzód, który przy dotykaniu wymienia dolega, więc krowa kopie, bo ją bardzo boli i nie da się doić. W tym wypadku należy wezwać weterynarza.

Dwojaka może być przyczyna, dla której krowy nie chcą spokojnie stać przy dojeniu: Często wymię lub cycki są zbolałe, chore i w takim razie przyczynę tę przedewszystkiem usunąć należy, t. j. przez stosowne nacierania i naparzania, chore części wygoić. Zdarza się jednakże, mianowicie u pierwiastek, że czynność dojenia drażni je nerwowo tak, że kopią, skaczą itp., a żadną miarą doić się nie dadzą. Nieomylny na to środek jest tylko jeden: święta, niewyczerpana cierpliwość; spokojnem i łagodnem postępowaniem najprędzej jeszcze przyzwyczaić można krowę do tej niezwykłej w każdym razie dla niej powinności oddawania mleka. Jeżeli krowa pozwoli ssać cielęciu, można próbować w ten sposób, że razem z cielęciem doi się — krowa nie chcąc odmówić cielęciu, pozwoli przy tem i gospodyni ciągnąć za cycki, choć przy tej sposobności przypomnieć nie zawadzi, że ciągnąć cycków nie powinno się nigdy, tylko naciskać, mięsić w kierunku z góry na dół, tak jak to robi cielę. Próbować można także naciskać krzyże krowie, położyć na nią jaki ciężar, n. p. worek z piaskiem; pomaga też czasem położenie na krzyże umoczonego w zimnej wodzie worka. Jedno i drugie przyczynia się do uspokojenia podrażnionych nerwów. Próbować też można uderzanie lekkim prętem lekko po rogach, aby odwrócić uwagę krowy. Gdy wszystkie te środki nie pomogą, trzeba krowę spętać i położyć na ziemię, postępując przy tem zawsze ze spokojem i łagodnością. Wszelkie krzyki, gniewy, a nawet co gorsza, bicie, nie pomogą nic i tylko jeszcze bardziej krowę rozdrażniają. Doić trzeba nie raz na dzień, ale choćby 5 razy. Jest to w każdym razie ciężkie dla gospodyni zadanie, taką drażliwą dójkę uspokoić i przyjaźń z nią zawrzeć taką, aby ona bez wahania pozwoliła się doić. Zanim się to stanie, nietylko, że się i gospodyni i krowa umęczą srodze, ale i mleka przez to mniej, gdyż takie męczące przejścia, nigdy dobrze na rozwój dójki nie wpływają. Zapamiętajcie więc sobie miłe towarzyszki, że już na kilka miesięcy przed ocieleniem, trzeba jałówkę zwolna przyzwyczaić do spokojnego stania przy dojeniu. Zaczynając od głaskania podbrzusza, zbliżamy się coraz więcej do wymienia, z początku tylko głaszcząc; następnie trzeba próbować dusić i miesić wymię i cycki. Przez to nietylko, że się krowa przyzwyczai do dotyku rąk ludzkich, ale wyrabiają się i wykształcają muszkuły, mleko wydzielające. W ten sposób urobić sobie można lepsze dójki. Czynności tej niech żadna gospodyni nie zdaje na sługi, ale sama niech z starannością i dobrocią chodzi koło przyszłej żywicielki, a ona też z pewnością za staranność tę się odwdzięczy i później przy dojeniu grymasów robić nie będzie.

Nadmieniam, że maszynka do dojenia także mogłaby być dobrym środkiem na drażliwe dójki, aleć nie dla każdego gospodarza maszyna taka jest dostępną.

Szanownemu Bojdasowi odpowiadamy, że nienaturalny pociąg do lizania u bydła jest chorobą, której lekceważyć nie można. Przyczyną tej choroby jest złe pożywienie, głównie spleśniałe siano z łąk, które podlegały zalewom deszczowym i których trawy są z natury kwaśne. Jako lekarstwo w tej chorobie dawać można bydłu trochę wapna kwaskowo-fosforycznego, zmieszanego z solą kuchenną i to po dwie łyżki stołowe dziennie. Tego wapna dostaniecie w każdej aptece lub składzie aptecznym w mieście.

Jeden z serdecznych przyjaciół Waszych Szanowne Gosposie radzi Wam, byście z pyżu, który jest wielką plagą w roli, — oczyszczały Wasze role, ale żeby go nie palić, tylko gdy go zbierzecie, dobrze wypłukać i o ile możności wysuszyć; a w następnym numerze *Przodownicy* podamy sposób: Jak go w gospodarstwie zużyć można.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.